

**ŁALKI
W OGNIU**

OPOWIEŚCI Z INDI

**PAULINA
WILK**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Paulina Wilk

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Żyło kiedyś pięciu ślepców, którzy chcieli poznać prawdę o słońcu. Pierwszy podszedł do zwierzęcia, dotknął jego masywnego boku i zakrzyknął:

– Słoń jest niczym błotnisty mur!

Drugi chwycił trąbę i orzekł:

– Przeciwnie, słoń jest podobny do węża!

Trzeci ślepiec, dotknąwszy kłówa, powiedział:

– Ależ nie, słoń jest ostry jak miecz!

Czwarty ślepiec zbliżył się do słońca, chwycił go za ogon i powiedział:

– Mylicie się, jest jak gruba lina!

Wreszcie piąty, dotykając jego nogi, uznał:

– Słoń przypomina marmurową kolumnę.

Choć każdy ze ślepców odkrył część prawdy, żaden nie poznał całej.

(ludowa przypowieść indyjska)

Nie ma jednego hinduizmu, jednych Indii.
Jest wielość pozbawiona najwyższej reguły.

Dziesięć lat później

Prolog do nowego wydania

Samolot lądował w środku nocy. W powietrzu unosił się pył, który wszystkiemu odbierał kolory. Pachniało jak w starej szafie moich dziadków. Upał, mimo ciemności, był wielki. Miasto przyczało się w duchocie i napięciu, ale nie spało. Z drogi do centrum zapamiętałam ruchome obrazy. Ktoś gotował herbatę na małym kramie z kólkami, kilkoro ludzi siedziało na krawężniku. Półnaczy mężczyźni leżeli na drewnianych straganach, na chodnikach. Nie jak śpiący – jak nieprzytomni z gorąca. Pies uciekał, kuląc ogon, krowy ułożyły się w grupie – odpoczywały, strzygąc uszami, ogonami odpędzały muchy.

Pierwszą noc w Indiach spędziłam, zapadając raz po raz w omdlenia, krótkie niebyty. Wentylator w pokoju huczał, mieląc suche i gęste powietrze. Był czerwiec, nad Delhi nadciągnęły wiatry znad pustyni Thar, przyniosły drobiny piasku – miasto pobladło, mozoliło się w gorącu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, czym jest to niemożliwe do wytrzymania napięcie. Tak się czeka na deszcz. Niemal odchodząc od zmysłów, wycierając co chwila pot ze skroni, łokci i łydek. Szukając schro-

nienia w budynkach, które nie mogą pomóc – rozgrzane od słońca, nocą niemal wibrują, oddając żar.

Obudziłam się z kaszlem i spierzchniętymi ustami. Chłopiec hotelowy w spodniach w kant i koszulce na ramiączkach wziął banknot, po chwili wrócił z dwoma butelkami wody. Grzecznie poczekał na napiwek.

Pierwszy błąd – miałam nigdzie nie ruszać się bez wody.

We Frankfurcie w samolocie obok mnie usiadł elegancki, ubrany po europejsku Hindus. Swobodny i rozmowny, poczuł się w obowiązku przestrzec mnie – podróżującą do jego kraju po raz pierwszy. Niczym opiekuńcza postać z hinduskiej przypowieści dał mi trzy rady. Po pierwsze, nie wyrabiaj sobie poglądów na temat tego, co zobaczysz. Gdy tylko przyjmiesz jakąś postawę, Indie zrobią coś, co cię z niej wytrąci. Po drugie, nie wachluj się w upale i nie wykonuj zbędnych ruchów. Tylko się spoczisz, a nie zmienisz niczego. I nigdzie nie ruszaj się bez wody.

Po wylądowaniu, choć o to nie prosiłam, zaczekał, aż przejdę odprawę wizową, i wręczył mi butelkę wody, po czym wskazał czekających już na mnie przyjaciół. Gdy upewnił się, że nie będę sama, zniknął.

Zawiesili mi na szyi powitalne girlandy z jaśminu i zabrali do tak zwanej wspólnej taksówki – wypchanego ludźmi busa. Liczyliśmy każdą rupię. Oni na stypendium indologicznym, ja na studenckich wakacjach. W plecaku miałam dla nich polskie sery, gazety i dwanaście rolek papieru toaletowego. Spędziliśmy razem ponad trzy miesiące, podróżując na północ, po-

łudnie, zachód i wschód kraju. Później przez lata wracaliśmy tam i razem, i osobno. On mówi po bengalsku jak poeta, z nią nawet najskromniejszy posiłek smakuje jak uczta. Byli moimi nauczycielami i przewodnikami, pokazali ścieżki w głąb. Zawdzięczam im tę wspaniałą nieludzką więź, jaką wciąż mam z Indiami.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Każdy dzień przychodził z trudem. Niczego nie rozumiałam: języka, kodów estetycznych, gestów, dźwięków. Ani nagiego ubóstwa, ani wyrafinowanej sztuki. Smaki, obrazy, zdarzenia nie przypominały znanego świata. Wirowałam bez oparcia. Kiedy zadawałam pytania, odpowiedzi nie przychodziły. Potrzebowałam czasu, by zrozumieć, że ich nie ma. Nie w tym języku, w którym mówię. Nie na tym nieboskłonie, na którym my próbujemy rozpisać nasz los.

Przypomniałam sobie radę pierwszą i drugą. Zaczęłam siadać na krawężniku. Bez ruchu, bez pośpiechu. Uczylałam się być, obserwować. Patrzyłam godzinami, wracałam w te same miejsca, przyglądałam się tym samym ludziom i sprawom po wielokroć, podpatrywałam też ich zmienność. Nie szarpałam już za łokieć, dopytując. Powoli, po latach, dotarło do mnie, że nie zrozumieć Indii – nie obejmę ich umysłem, pozostaną osobne. Ale w kochaniu ich, w zachwycie i bólu, jaki mi sprawiają, intelekt gra małą rolę. Spotkać Innego, móc go dostrzec w całej złożoności i sprzecznościach, uznać dzielące nas różnice, a mimo to wytrwale pielęgnować podziw – tak tkam przyjaźń z Indiami, tak mi się wciąż przydarzają.

Wracam do nich, ponieważ mnie zmieniły. Tam umiem być bezsilna, przyjmować i piekło, i raj istnienia. I choć trudno je zapamiętać, uwierzyć, że są – wiem, że pokazały mi pełne spektrum doświadczeń. W powrotach do Indii jest coś z praktyki i pracy nad własną wrażliwością i pojemnością. Bycie tam, wśród Hindusów, przynosi mi najgłębsze ze wzruszeń. Pozostaje przywilejem, nigdy oczywistością.

Lalki w ogniu. Opowieści z Indii powstały po ośmiu latach regularnych powrotów nad Ganges. Pisałam w małym hotelu w śródmieściu Kalkuty, na podłodze pokoju, do którego wjeżdżałam przedwojenną, importowaną z Londynu windą w towarzystwie krępego, nieśmiałego windziarza. Budzili mnie muezini, usypiały dźwięki dęcia w muszlę przy wieczornych modlitwach. Na śniadania chodziłam do straganiku, gdzie dostawałam herbatę, duszone ziemniaki, tłuste i pulchne placuszki, a na finał gorące, ociekające słodkim syropem gulab dżamuny. Gazeciarz pamiętał, by odłożyć dla mnie numer „The Telegraph”, rikszarze z postoju pod hotelem byli jedynymi kibicami – wieczorami stawiałam im tanie lody na patyku o smaku pomarańczowym. Cmokali i kręcili głowami, gdy mówiłam, że dziś poszło dobrze albo że utknęłam. Kelner z wąsikiem w muzułmańskiej jadłodajni nie pytał, co zamówię. Wiedział. Zgodził się wynosić resztki moich posiłków psom, które zawsze czekały przed wejściem. Po całodniowym pisaniu i gdy potrzebowałam odpoczynku, wychodziłam zanurzyć się w uliczny gwar, płynęłam w tłumie zalewana światłem, muzyką, okrzykami sprzedawców. Bywało,

że wędrowałam godzinami, na drugą stronę Hugli i aż na Dżadawpur.

Pisanie książki było rozmową ze sobą, sprawdzeniem, jak wiele zdołałam zobaczyć.

Było również próbą opowiedzenia tego, co się w słowach nie mieści. Bez wątpienia ryzykowną i niedoskonałą, bo aby opowiedzieć część, zdecydowałam się na marginalizowanie lub pomijanie nieskończenie złożonych całości i zjawisk. Jak zapisać życie? Ułożyłam książkę na rusztowaniu indyjskiej codzienności. Podwalinami każdego z rozdziałów były czynności, które Hindusi robią co dzień: rodzą się i umierają, myją, wypróżniają, ubierają, jedzą, biorą śluby, sprzedają i kupują, podróżują, czekają, błagają i niosą pomoc, czytają, podróżują i transportują, wierzą, kochają, śpią i śnią. A ponieważ ich życie wciąż przyjmuje formy zbiorowe i toczy się w znacznej mierze na zewnątrz, w przestrzeniach wspólnych, gdzie mogłam ich obserwować, te wymiary wydawały mi się możliwe do uchwycenia.

Wiem, że książka okazała się istotna nie tylko dla mnie i że pojechała z wieloma czytelnikami do Indii. Wiem również o tych, którzy po jej lekturze zrezygnowali z podróży, czując, że nie chcą doświadczać tego, co opisałam. Obie te role – książki jako sojuszniczki i jako przestrogi – są dla mnie dowodem uważnej lektury i komplementem. Cieszę się, że *Lalki w ogniu* po dziesięciu latach od pierwszego wydania są książką poszukiwaną i potrzebną, dlatego z wdzięcznością przyjęłam zaproszenie Hanny Mirskiej-Grudzińskiej do ponownej publikacji

w Wydawnictwie Marginesy. Oddajemy Wam książkę w odświeżonej wersji, z drobnymi zmianami, których domagał się czas i wnikliwa lektura redaktorów, za co dziękuję.

Wierzę, że wielką siłą Indii pozostaje trwanie – mimo intensywności przeobrażeń, jakim podlegają. To pozwala mi mieć nadzieję, że zapisany tu obraz codzienności pozostaje literacko i faktycznie prawdziwy.

Jak inne są Indie dziś, gdy ich wieloletnie kultury i obyczaje obmywa ocean nowych technologii i kapitalizmu? Czy pozbawiona dominującej reguły wielość ulegnie autorytarnym dążeniom polityków rządzących krajem od 2014 roku? Jak kosmos indyjskich filozofii i codziennych zwyczajów wchłania współczesność i czy zmieni swoją substancję? Ile kosztuje teraz kilogram cebuli i czym zajmują się dawni właściciele budek telefonicznych? Jak wioski w delcie Gangesu poradziły sobie z ostatnim cyklonem? Gdzie się teraz tańczy w Bombaju? I które kalkuckie osiedle wygra w tym roku konkurs na najpiękniejszą świątynię bogini Durgi? Chcę to wiedzieć. Usiąść na krawężniku i poczekać. A potem napisać książkę, tym razem także o tym, co nienamacalne, czego nie widać, co święte i tajemne.

Czekam na możliwość podróży do Indii. Mam gruby notes, dwa niezawodne szwajcarskie długopisy i nieutuloną ciekawość. Wszystkie kolekcjonowane przez lata figurki boga Ganeśi ustawiłam razem. Może słońogłowy sprzymierzeniec podróżnych usunie stojące na drodze przeszkody – w tym się przecież specjalizuje.

Ale jedną z najważniejszych umiejętności, jaką dały mi Indie, jest cierpliwe siedzenie w bezruchu. Po godzinach spędzonych na przystanku bez żywej duszy, w upale i niepewności, zjawiał się wreszcie człowiek z tobołkiem – pierwszy tragarz otuchy, a po nim kolejni. Robiła się z nas gromada, podjeżdżał autobus, rozpoczynał się spektakl – wpychanie ciał na siedzenia, a bagaży na dach, pokrzykiwania i tumult. Wreszcie klakson i szarpnięcie silnika. Podróż zawsze zaczyna się czekaniem.

Paulina Wilk, Warszawa, 2021

Obyś była matką tysiąca synów

Urodził się kilka dni temu, a już golą mu głowę. Nowe życie, tak maleńkie, że mieści się w żyłastych dłoniach babki, zostało wyniesione na ulicę, do cyrulika. W zgiełk, tłok i hałas, w lejący się z nieba żar i wirujący pył. Bez zwłoki, bo dziecko musi zostać poddane rytuałom zespalającym je z przeznaczeniem i oddalającym złe moce. Chropowate palce opiekunki, spalone słońcem i pomarszczone, obejmują nagie biodra, podtrzymują kark. Chłopiec wije się i kwili, ale w uścisku jest jednocześnie zniewolony i bezpieczny. Hartuje się w ryku silników, ciasnocie, duszącym zapachu miasta. Brzytwa połyskuje, ledwie muska, zbierając ciemne włosy. Cyrulik pracuje w milczeniu i bez pośpiechu, kucając raz z lewej, raz z prawej strony. Moczy dłoń w kubku z wodą i przeciera poczerwieniałą główkę. Nie zauważa gapiów, którzy przylgnęli mu do pleców, przyznali sobie prawo uczestnictwa w obrządku. Otoczyli tę scenę kordonem ciekawości, podnieśli jej rangę – teraz stała się publicznym spektaklem. Malec nigdy nie będzie sam, bo w Indiach życie nie ma liczby pojedynczej – jest zawsze zbiorowe. Jego sens i wartość

leżą w połączeniu, nie w indywidualności. Odświętny obrządek golenia głowy rozgrywa się wśród wielu pospolitych zdarzeń.

Obok paruje wielka misa z bulgoczącym olejem, a spocony sprzedawca wyławia z niej skwierczące ryby. Ogony i głowy rzuca dwóm wyczekującym psom – jeden jest kulawy, drugi nie ma ogona. Pod zamkniętym jeszcze sklepem, oparty o metalową roletę, leży bezdomny. Czarny od brudu, z brodą sięgającą piersi i długimi włosami posklejanymi w dredy. Bezwładny, zawieszony w letargu. W kantorku telefonicznym trzy kroki dalej gruby bramin* wrzeszczy do słuchawki telefonu stacjonarnego – próbuje się dodzwonić do innego miasta, ale ciągle coś zrywa mu połączenie. Przy śmierdzącym rynsztoku swój rowerowy wózek zaparkował stary kulis. Przysypia na zbitej z desek platformie, osłaniając twarz przed słońcem. Nie zwraca uwagi na wychudzonego żebraka, który zatrzymał się przy nim i podrzuca w kubku kilka monet. Po przeciwnej stronie ulicy w żółtej taksówce siedzi znudzony kierowca. Wychyla się przez okno i wypluwa krwistoczerwony strumień śliny, zabarwionej poranną porcją panu**.

* Bramini – członkowie najwyższego stanu społecznego w hinduizmie, najszlachetniej urodzeni. Tradycyjnie zajmują się kapłaństwem. Pozostałe stany to kszatrijowie, wajsjowie oraz śudrowie. Poza tym podziałem znajdują się ludzie zwani popularnie niedotykalnymi.

** Pan – używka z liści betelu, orzechów palmy arekowej, pasty z wapna oraz dodatków smakowych; przeżuwana wydziela czerwony sok.

Jedno życie wchodzi tu na drugie, jedno o drugie zahacza – żadne nie jest ważniejsze, bardziej niezwykle, uprzywilejowane. Ani to dobiegające końca, ani to, które się zaczyna. Dostatnie i ubogie, przyzwoite i podłe, szczęśliwe i dotkliwe, ludzkie i psie – są tu razem, odmienne, ale stopione w jedną masę. Trudno z niej wyłuskać osobny los. Nagie dziecko popłakuje, a magia jego narodzin sąsiaduje z czymś błaganiem o przetrwanie. Przyszło na świat tam, gdzie na skrawku chodnika wydarzają się i piekło, i raj. Indie niczego nie ukrywają, odsłaniają całe piękno i nędzę istnienia. Kto tu przyjedzie, zobaczy wszystko. Więcej, niżby chciał.

Życia jest tak dużo, że wciska się wszędzie: na szarpane wiatrami wysepki Zatoki Bengalskiej, na porośnięte dżunglą wzgórza północnego wschodu. Wydeptało ścieżki w skalistych zboczach Himalajów, zacumowało na rozlewiskach Kerali, rozłożyło się płasko na równinie Dekanu i skamieniałych pustyniach Radżasthanu. Ludzie co dzień negocjują z naturą warunki przetrwania – składają jej dary, obłaskawiają modlitwą, z uporem odbudowują to, co niszczy. Próbują się ułożyć ze światem, który jest dla nich zbyt ciasny: na skrawku zajmującym dwa i pół procent powierzchni globu musi się zmieścić ponad siedemnaście procent ludzkości. A będzie jeszcze tłoczniej – populacja rośnie.

Żaden indyjski rząd nie próbował powstrzymać gwałtownego przyrostu naturalnego, jeśli nie liczyć socjologicz-

nych eksperymentów Sanjaya Gandhiego*, oferującego radia tranzystorowe w zamian za wazektomię. W XXI wieku władze niektórych stanów decydują się płacić rodzinom, by odczekały kilka lat z poczęciem drugiego dziecka. Ale pieniądze kuszą nielicznych, bo hindusi** hołdują płodności – czczą lingamy symbolizujące boga Śiwę, łączącego żeńską i męską energię. Posiadanie dzieci, ciągłość rodziny, namnażanie życia – to w Indiach sprawy najistotniejsze bez względu na wyznanie.

Co roku przychodzi tu na świat około 25 milionów osób, to mniej więcej tyle, ile zamieszkuje Australię. W przybliżeniu, bo nie sposób policzyć dokładnie. W tym sęk – istnień jest tak wiele, tak gęsto upchanych, że rozsadzają statystyczne rubryki, umykają próbom opisu i kontroli. Zanim uda się ustalić liczbę, jest już nieaktualna. Od czasu do czasu rządzący, naukowcy i dziennikarze zgadzają się co do jakiejś wielkości i podają ją oficjalnie, ale to zawsze kategoria umowna – stosowana jak środek uspokajający, który ma przesłonić prawdę: nikt nie wie, ilu dokładnie Hindusów co dzień rodzi się i umiera. Rzeczywistość jest spiętrzona i nieogarniona. Do liczenia ludzi w Indiach trzeba zatrudnić ich tylu, że już w tym kryje się za-

* Sanjay Gandhi (1946–1980) – kontrowersyjny indyjski polityk, młodszy syn i zaufany doradca Indiry Gandhi. Odpowiedzialny za serię niepopularnych decyzji w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Lubił ekstrawaganckie życie, szybkie samochody i samoloty; zginął w wypadku lotniczym.

** Hindusi – obywatele Indii. Ten sam termin pisany małą literą – hindusi – odnosi się do wyznawców hinduizmu.

powieź porażki. Zbyt wielu Hindusów współtworzy kraj zbyt złożony, by sami potrafili oddać jego rozmiar i kształt.

Policzyć istnienia znaczyłoby tyle, co zyskać nad nimi władzę, dlatego indyjski rząd podejmuje próby – przeprowadza spisy powszechne, wprowadził dokumenty biometryczne, w których zapisane zostały dane osobiste. Rządzący myślą, że w ten sposób zdobędą niepodważalne świadectwa obecności milionów ludzi. Tych, których oficjalnie nie ma – nie posiadają domu, adresu ani majątku, a identyfikują się tylko z członkami rodziny. Nie znają daty swojego urodzenia ani dokładnego położenia rodzinnej wioski – tak dawno ją opuścili. Nigdy wcześniej nie mieli dokumentu tożsamości, urodzili się w chacie, na ulicy lub na łodzi i żaden wąsaty urzędnik nie odnotował początku ich życia w zaśnieżonym tomie, zzeranym później przez wilgoć i mole. Kiedy umrą, nikt ich też z niego nie wykreśli. Żeby zagłosować w wyborach, muszą najpierw zjawić się przed specjalną komisją i zgłosić urzędnikom najludniejszej demokracji świata, że są jej żywą częścią. Biurokratyczny niedowład przyjmuje groteskowe formy, bo jest rozpaczliwą próbą zapanowania nad ogromem życia i śmierci. Bywa, że cieszący się dobrym zdrowiem Hindusi figurują w dokumentach jako zmarli i latami próbują przed sądem dowieść swojego istnienia, aby założyć w domu licznik prądu albo kupić bilet miesięczny. Za to zmarli są według dokumentów wciąż żywi i ze swych emerytur utrzymują całe rodziny.

Wszyscy władcy Indii – z muzułmańskimi Mogołami, brytyjską machiną urzędniczą i niepodległymi rządami włącznie – ponosili porażkę w zetknięciu z żywiołem. Bo wyzwaniem są nie tylko same rozmiary indyjskiego życia, ale także jego skomplikowana natura – jawi się ono jako chaos, jednoczesny ruch we wszystkich kierunkach, współistnienie nieskończenie wielu sprzecznych dążeń. Magma, która wszystko pochłania i wszystko w sobie roztopia. Nie reguluje jej żadna narzucona struktura, poza tą wewnętrzną i niewidzialną – kastową – ale nawet ona nie ustanowiła bezwzględnych granic i nigdy nie objęła wszystkich. Nie ma jednego hinduizmu, jednych Indii. Jest wielość pozbawiona najwyższej reguły.

Gdy się idzie indyjską ulicą, w głowie rodzą się pytania: skąd ich tutaj tyłu? Po co tu są? Dokąd idą? Dlaczego tak bezładnie, jakby brnęli pod prąd? I dlaczego jeden człowiek siedzi bez ruchu na środku chodnika, gdy kilkuset innych wpada na siebie, potraça się i pcha? Co robi w tłumie kilkuletnie nagie dziecko? Czemu ten starzec leży właśnie tu, przy krawężniku? Gdzie oni wszyscy śpią?

Odpowiedzi, nawet jeśli istnieją, nie nadążają za znakami zapytania. Indii nie można objąć ani nazwać. Nie warto pytać, ilu jest tych ludzi, ilu ich przybędzie. Zgodnie z hinduskimi wierzeniami wszystkie dusze istnieją wiecznie. Powracają w cyklu narodzin i śmierci, wirują w kołowrocie samsary, za każdym razem w nowym wcieleniu, ale z bagażem poprzednich żywotów i już wytyczonym losem. Zmienia się tylko

postać, ale istota i masa życia pozostają. Część wyznawców hinduizmu powraca na ziemię, wciąż i wciąż od nowa, z nieustającym pragnieniem oczyszczenia i wyzwolenia.

Wielu wciąż przychodzi na świat bez pomocy medycznej. Na wsiach kobiety rodzą same, w towarzystwie krewnych lub akuserek dziedziczących zawód po matkach. Z pokolenia na pokolenie przenoszą nie tylko swoją misję, lecz także zabobony i przekonania, które uśmiercają matki i dzieci. Ale droga do cywilizacji bywa zbyt daleka i kosztowna – do szpitala nie ma czym dojechać, a jeśli już, to trzeba udać się tam z kimś z rodziny, zapłacić za podróż i nocleg, na kilka dni przerwać pracę w polu. Poza odległością jest też mur kulturowy – kobiety z ubogich plemion i małych wiosek boją się dyskryminacji w miejskim świecie, a mężowie nie dopuszczają do siebie myśli o tym, że ich żonami będą się zajmować lekarze mężczyźni. W tradycyjnych społecznościach poród to zdarzenie pozbawione wyjątkowości: nie usprawiedliwia specjalnych wydatków ani wysiłków. Tym bardziej że kobiety rodzą często, a dziecko może nie przeżyć. Koło się zamyka: im więcej porodów w prymitywnych warunkach i biedzie, tym więcej przedwczesnych śmierci. Strata noworodka jest powszechnym cierpieniem, tragedią wspólną tak wielu kobietom, że niemal pospolitą. Rozpaczą, z której szybko wraca się do codzienności.

Hinduski na wsiach zaczynają rodzić wcześniej, zwykle jako nastolatki. Są pospiesznie wydawane za mąż, muszą porzu-

cić szkołę już po kilku klasach, a brak podstawowej edukacji, w tym nieznanie własnego ciała i higieny, sprawia, że nie potrafią zapewnić dzieciom odpowiedniej opieki, pokarmu i czystości. Indyjskie noworodki umierają, bo są brudne, niedożywione, zbyt wcześnie pozostawione samym sobie. Wiejskie dzieci rodzą się do trudnego życia – pracują nawet czterolatki, choć prawo zakazuje zatrudniania nieletnich. Rozdźwięk norm i faktów towarzyszy wszelkim aspektom indyjskiej rzeczywistości: przepisy wyrażają jedynie marzenie Hindusów o nich samych, są teoretycznym szkicem lepszego życia i praworządnego społeczeństwa, sporządzonym przez ludzi pogrążonych w niemocy. Na papierze jest ideał, są gwarancje praw i groźby kar. W rzeczywistości wygrywiają stare zwyczaje i twarde reguły biedy. Tam, gdzie jest głód, każdy musi zapracować na jedzenie. A dzieci szybko uczą się powinności – jak wszyscy wokół angażują się w zbiorowy wysiłek na rzecz przetrwania. Życie, szczególnie to młode, jest niepewne – toczy się w bezpośrednim sąsiedztwie śmierci, a niebezpieczeństwo towarzyszy mu niczym cień.

Najbardziej zagrożone są dziewczynki, bo ich istnienie liczy się mniej.

„Obyś była matką tysiąca synów” – życzą sobie kobiety w dniu ślubu. Chłopiec, który dorośnie i pomoże wyżywić rodzinę, a później zaopiekuje się starymi rodzicami, zjawia się w domu jak mały bóg. Rozpieszczany i hołubiony może liczyć na pierwszeństwo we wszystkim: dłuższy sen, lepsze obowiązki, lepsze jedzenie, szkołę. O dziewczynkach mówi

się, że są jak rośliny, które zakwitną w cudzym ogrodzie. Ich wychowanie to bezzwrotna inwestycja, bo zamążpójście oznacza zerwanie więzów z własną rodziną i odejście do domu męża. To przeniesienie jest sprawą konieczną, bo honorową, ale także niezwykle kosztowną. Rodzice panny młodej muszą przygotować posag*, co zwykle oznacza dla nich zadłużenie na lata. Jeśli mają kilka córek, chcą wydać je za mąż jak najprędzej – młodsza dziewczyna kosztuje mniej. Dlatego aranżuje się małżeństwa kilkuletnich dzieci, a nawet noworodków. Instytucja posagu uległa w XX wieku przerażającej deformacji. Sam pomysł był szlachetny: zabezpieczyć los młodej dziewczyny. Kilka bransoletek, para kolczyków i naszyjnik miały jej zapewnić odrobinę godności i niezależności w surowym i obcym świecie przyszłych krewnych. Początkowo posag miał wymiar symboliczny. Z czasem stał się przekleństwem o zabójczych konsekwencjach: jego żniwo to miliony kobiecych istnień. Córka zagraża przetrwaniu rodziny, więc wielu rodziców woli się jej zawczasu pozbyć.

W indyjskiej populacji jest wielka dziura – brakuje milionów dziewczynek. Według rządu nie ma ponad 60 milionów żeńskich istnień, według organizacji niezależnych – to liczba zaniżona. Znikają codziennie, w tajemnicy, hipokryzji i kłamstwie. Na wsiach są różne sposoby: podaje się im trujący miąższ ole-

* Żądanie, dawanie i przyjmowanie posagu jest w Indiach zakazane od 1961 roku na mocy Dowry Prohibition Act. Kodeks karny przewiduje za to kary grzywny i pozbawienia wolności.

andrów, koktajl z pestycydów, opium albo surowy ryż, który uszkadza delikatne narządy. Dziewczynki są duszone, zakopywane żywcem, wrzucane do studni. A czasem po prostu zostawiane samym sobie, by umarły z głodu. Na te zabójstwa spada zasłona milczenia. Nawet w małych wioskach, gdzie cięży nie da się ukryć, sąsiedzi nie zadają pytań, a policja nie interweniuje. Matki zabijają, ponieważ nie mają za co wykarcić i wydać za mąż kolejnej córki. Lub ze strachu, że jeśli nie urodzą syna, mąż je porzuci i poszuka innej kobiety. Ale bywa i tak, że gdy ojciec zabija dziecko, kilku krewnych trzyma krzyczącą z rozpaczony matkę. Kobiety znajdują swe córki martwe i w lodowatym spojrzeniu teściowych widzą ostrzeżenie: jakakolwiek próba protestu lub walki może i dla nich skończyć się tragicznie.

Na wsiach do zabójstw doprowadza makabryczna płątina tradycji, bezradności, ubóstwa i braku edukacji. W miastach środki są bardziej wyrafinowane, ale bezwzględność ta sama. Technologia, zaawansowana medycyna, wykształcenie i grube portfele rodziców, zamiast gwarantować dziewczynkom bezpieczeństwo, potęgują zagrożenie. Pozwalają eliminować kobiety ze społeczeństwa wcześniej, poprzez selektywne aborcje. Hindusi przekupują lekarzy, by jak najwcześniej poznać płeć płodu i – jeśli to niechciana dziewczynka – usunąć ciążę. Skala zjawiska jest tak duża, że prawo przeprowadzania badań ultrasonograficznych zostało restrykcyjnie ograniczone, a lekarze nie mogą ujawniać płci płodu. Nie mogą, ale to robią, przy okazji oferując telefon do prywatnego gabinetu, gdzie

wykonują aborcje. Wielu z tych ginekologów to kobiety. Na zabieg najczęściej decydują się zamożne rodziny z najlepszych dzielnic wielkich miast – te, których główną troską jest prestiż. W świecie bogaczy o losie dziewczynek nie decyduje widmo finansowej zapaści, ale głęboko zakorzenione przekonanie, że są mniej wartościowymi ludźmi. W klasie średniej, gdzie rywalizacja finansowa jest ostrzejsza, a konwenanse silniejsze niż na wsiach, częściej dochodzi również do zabójstw z powodu posagu – to tak zwane *dowry deaths*. Ta szczególna kategoria śmierci, podobnie jak *female infanticide* (zabójstwo żeńskiego noworodka) i *female foeticide* (aborcja żeńskiego płodu), ma własną terminologię i miejsce w kodeksie karnym. Została opatrzona osobnym paragrafem, karą, a nawet wyjątkowym trybem prowadzenia śledztwa. Jest wytworem indyjskiego społeczeństwa, przekazywanym z pokolenia na pokolenie jak krwawe dziedzictwo.

Ofiary żądzy posagu to często żywe pochodnie, konające w mękach, na oczach bliskich: młode kobiety oblane naftą i podpalane, miotające się w zamkniętych domach albo na podwórkach. Kiedy przyjeżdża policja, krewni zgłaszają wypadek w kuchni. To wiarygodna fabuła: w Indiach ciągle gotuje się na palnikach naftowych, buchających kapryśnym i trudnym do skontrolowania ogniem. Sąsiedzi, choć ich domy dzielą od miejsca zbrodni metr lub dwa, zapewniają, że nie słyszeli krzyku. Są zaszokowani, tak jak wracająca właśnie z targu teściowa i mąż, który podobno przez cały dzień był w pracy. Standardowe śledztwo potwierdzi, że to nieszczęśliwy wypa-

dek, i zostanie szybko zamknięte. Chyba że dociekliwy policjant podczas brutalnego przesłuchania ustali, że podpalona kobieta i jej rodzice byli miesiącami szantażowani o pieniądze. Gotówka i biżuteria, którą przekazali mężowi w dniu ślubu, nie wystarczyły. Pojawiły się nowe żądania: telewizor, skuter, kamera wideo, lodówka, samochód, komputer. Kobieta za każdym razem, gdy wysyłano ją do domu rodziców, miała na ciele nowe siniaki, ślady rażenia prądem i duszenia. Presja rosła, ojciec i matka zastawili wszystko, co mogli. A kiedy rodzina męża uznała, że więcej nie dostanie, zabiła. Decyzja i wykonanie są zbiorowe, tak samo jak kłamstwa tuszujące zbrodnię. Zbiorowe nie tylko dlatego, że dokonane przez całą rodzinę w jej wspólnym interesie.

Przyzwolenie na zabójstwo tkwi w kulturze i rodzi się w chwili, gdy dziewczynka przychodzi na świat. Czai się w milczącej obojętności sąsiadek, w nieczułych spojrzeniach policjantów, których żony także wniosły posagi, w opieszałości sędziów wydających wyrok na swoje córki i córki ich córek. *Dowry death* to zbrodnia uniwersalna i popularna wśród wyznawców hinduizmu – nie dotyczy środowisk patologicznych, zdarza się w szanowanych domach, gdzie nie gości bieda. Giną żony prawników, urzędników, inżynierów i lekarzy. Zabija je kulturowa nienawiść i chciwość. Mord nie jest nawet wyprowadzany poza obszar życia codziennego, dokonuje się w samym jego sercu, pozostawiając ziejącą ranę. Różne są tylko narzędzia zbrodni i scenariusze: pozorowanie wypadku w płomieniach zmienia

się czasem w zaaranżowane samobójstwo przez powieszenie lub otrucie. Ale motyw i poprzedzające tragedię tortury są takie same. O tajemniczych zgonach młodych żon indyjskie gazety piszą niemal codziennie. Notki są krótkie i mdłe – czytane regularnie zlewają się w opowieść o kraju, w którym bycie kobietą jest śmiertelnie niebezpieczne.

Płonące w domach kobiety są współczesnym przetworzeniem sati – rytuału palenia wdów na stosach pogrzebowych mężów, zakazanego w XIX wieku*. Wdowa, która spłonie wraz ze zwłokami męża, zostanie (zwyczaj wciąż bywa praktykowany, choć oficjalnie przypadki sati rejestruje się niezwykle rzadko) wyniesiona do godności świętej, będzie uosobieniem cnotliwości i prawdy. Wypełni ideał małżeńskiego oddania, niczym Sita, bohaterka *Ramajany*, która rzuciła się w płomień, by udowodnić bogom i swemu mężowi Ramie, że pozostała nieskalana, choć długo przebywała w mocy demona Rawany. Bóg ognia Agni dostrzegł niewinność Sity i wyniósł ją z płomieni. Umierające na stosach kobiety, gdy stawały się sati, miały dostępować chwały, były wielbione w budowanych na ich cześć świątyniach. Poprzez swoją śmierć zapewniały rodzinie status i szacunek. Najznakomitsze rody Radźputów z Radźasthanu i dziś szczycą się, że mają je wśród przodków. Głorifykujący śmierć rytuał dokonywał się na oczach świadków.

* Pierwszy zakaz palenia wdów na stosie wydano w Bengalu w 1829 roku. Twórcą nowego prawa był ówczesny gubernator generalny Prezydencji Bengalskiej lord William Bentinck.

Kobiety nie zawsze wchodziły na stos dobrowolnie, były zmuszane, odurzane narkotykami. Sati, poza aspektem duchowym, miało też prozaiczny wymiar – pozbycie się wdowy umożliwiało pozostawienie majątku w rękach rodziny męża i uwalniało krewnych od obowiązku utrzymywania osamotnionej kobiety, obcowania z jej nieczystą postacią. W ostatniej chwili przed podpaleniem stosu krewni zachowywali zimną krew – pamiętali, by zdjąć biżuterię z jej rąk i nóg.

Dla wielu wdów stanie się sati było nie tylko drogą do świętości, lecz także ucieczką przed okrutnym losem. Wraz ze śmiercią męża unicestwieniu ulega sens życia kobiety. Jej prawo do istnienia od narodzin wiąże się z mężczyzną: najpierw opiekunami są ojciec i brat, później mąż, wreszcie najstarszy syn. Pozbawiona męskiego pierwiastka jest balastem, wyschniętą rośliną. Choć zdarzają się wyjątki, najpewniej nie wyjdzie ponownie za mąż i nie wyda już z siebie życia. Na nic się nie przyda. Wraz z mężem traci tarczę osłaniającą ją przed brutalnością rodziny. W tradycyjnych społecznościach wdowieństwo to śmierć za życia: rygorystyczna asceza, bezlitosna redukcja istnienia, smutna wegetacja wśród zakazów. Po śmierci męża wdowa wyrzeka się ozdób, przede wszystkim tej najpiękniejszej i najbardziej cenionej – włosów. Goli głowę i zdejmuje biżuterię – odtąd będzie nosić wyłącznie proste białe sari, zapomni o radościach i rozrywkach, o słodyczach i przyprawach, będzie jeść mdłe i skromne potrawy. Nie siądzie do posiłku z krewnymi, nie będzie uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich, oddali się od życia, zjednoczy w śmierci z mę-

zem i skupi na tym, by nie splamić honoru rodziny. Zdarza się, że wdowy są głodzone, zmuszane do spania na podłodze i żebrania, wreszcie wypędzane z domów. Jedynym ratunkiem przed tak strasznym losem jest troskliwy syn: on zapewni kobiecie poważanie. Dlatego jego więź z matką jest silna i szczególnie pielęgnowana: narastająca latami wdzięczność staje się polisą. Rodząc córkę, kobieta myśli o dniu, w którym się z nią rozstanie. Wydając na świat syna, zapewnia sobie godne życie i śmierć.

Samotni Hindusi umierają w tłumie. Gasną po cichu niezauważeni – są jak wędrowcy, którzy polegli w drodze. Nie czekają na śmierć w swoich łóżkach. Pozbawieni domów i bliskich, w nieustającej tułaczce, spotykają ją na ulicy. Gdy w słoneczny i duszny poranek milion osób wylewa się z dworca Howrah, oddzielonego rzeką od nabrzmiałej z przeludnienia Kalkuty, pojedyncze życie dobiega końca. Leży tuż przed głównym wyjściem z hali, stygnie z wolna na gorącym asfalcie. A wszystko wokół buzuje: ludzki ogrom musi znaleźć ujście, wycieka z budynku i rozpełza się po mieście. Tylko dwie chude nogi trwają bezwładnie zemdlone. W leżącej sylwetce chudego starca nie byłoby nic niepokojącego, gdyby nie zwrócona w dół twarz – żywi śpią na plecach, wystawieni do słońca. Ale to skurczone ciało jest inne, już bez ducha. Półnagie, oplecione w pasie kałkiem podartej bawełny. Choć leży na widoku, pozostaje niewidzialne. Omijają je wszyscy z wyjątkiem dwóch policjantów ubranych w białe mundury – kolor hinduskiej żałoby. Mówią

coś do krótkofalówek, słuchają odpowiedzi, stoją znudzeni. Wiedzą, że na wóz z kostnicy przyjdzie poczekać – śmierć ma w Indiach pełne ręce roboty.

Szkoda, że nie zdążyli dziś wolontariusze od Matki Teresy. Jeżdżą po mieście, zbierają chorych i wycieńczonych z chodników, aby nie umierali samotnie. Wiozą ich na Kalighat, do małego hospicjum, gdzie albańska zakonnica opatrywała rany trędowatym i trzymała ich za rękę w chwili śmierci. Nie próbowała odwrócić boskich wyroków, pomagała je przyjąć. Tej zgarbionej staruszki, służącej najbiedniejszym z biednych, już nie ma. Nie ma też ubóstwa tak nieprzebranego jak w latach czterdziestych XX wieku, gdy zaczynała swoją misję na ulicach Kalkuty. Ale wszystkie łóżka w przytułku są wciąż zajęte. W obu salach – żeńskiej i męskiej – czuć słodkawych zapach. Młodzi wolontariusze uśmiechają się, szepczą łagodnie. Są akuszerami, pomagają się przeprowadzić na drugą stronę. Gdy karmią i tulą umierających, ich ruchy są powolne i płynne, jakby nie z tego świata. A już na pewno nie z buchającego zgiełku, który czeka za drzwiami.

Zmarli w przytułku Matki Teresy są chowani zgodnie ze swoim obrządkiem – chrześcijanom i muzułmanom jest zapewniany pochówek, ciała hindusów jadą do ghatów* nad rzeką i tam są palone. W hinduizmie śmierć to droga do odrodzenia, być

* Ghaty – kamienne stopnie na brzegach rzek i stawów; miejsce rytualnych kąpiei, modlitw i pogrzebów, ale także przyziemnych czynności, na przykład prania.

może w lepszym wcieleniu – konieczny przystanek między tym a kolejnym istnieniem, moment regeneracji. Pogrzeb nad wodą ułatwia płynne przejście z życia do śmierci, bo rzeki leżą na ich pograniczu. Przepływają cały mityczny świat, łącząc rzeczywistość ludzką i boską. Ich ruch symbolizuje wędrówkę dusz. Ganges, jako najświętsza z rzek, ma szczególną moc: podanie jej wód umierającemu i kremacja na jej brzegu mogą wyzwolić z koła wcieleń. Ganges spadł na ziemię z nieba z ogromną siłą; nie zniszczył jej tylko dzięki interwencji Śiwy, który przyjął wodę na swoją głowę – splątana w jego włosach krążyła przez dwanaście lat, wreszcie zstąpiła na ziemię i popłynęła do oceanu. W cudowny sposób obmyła prochy sześćdziesięciu tysięcy spopielonych synów króla Sagary, zapewniając im zbawienie.

Kremacja ciała sprawia, że elementy, z których składa się ziemskie życie, zostają zwrócone naturze, a oswobodzona dusza wędruje do światów wyższych. Nie wszyscy jednak podlegają tej procedurze: dzieci do piątego roku życia są chowane w ziemi, oświeceni mężowie spoczywają w pozycji lotosu w kamiennych grobach, a ciała ascetów, już wcześniej poddanych symbolicznej kremacji, są wrzucane do rzeki. Spopielenie zmarłych umożliwia dalszą podróż duszy, ale pozwala też rodzinie dokonać symbolicznego obmycia – śmierć zanieczyszcza wszystkich, którzy znajdują się w jej pobliżu; dopóki dusza nie odejdzie w zaświaty, nie mogą dokonać rytualnej kąpieli i w pełni uczestniczyć w życiu. Zwłoki kremuje się, o ile to możliwe, jeszcze w dniu śmierci. Umyte ciało zmar-

łego jest okrywane białym całunem i na drewnianych noszach transportowane na stos. Głowa zostaje zwrócona na północ – w stronę królestwa Kubery, boga bogactwa, stopy zaś na południe – w kierunku Jamy, władcy zaświatów. Według hinduskich wierzeń to on jako pierwszy zmarły człowiek przeszedł drogę w zaświaty – teraz podążają nią wszyscy, by w jego krainie spotkać przodków. Wysłannikami Jamy są czterookie psy wypatrujące wśród ludzi tych, których czas nadszedł. Dusza opuszcza ciało i podąża do królestwa Jamapury – trwa to cztery godziny i czterdzieści minut, dlatego zwłok nie wolno spalić wcześniej. Sekretarz Jamy odczytuje z wielkiego rejestru dobre i złe uczynki zapisane na koncie każdej duszy. Sporządza bilans, na podstawie którego orzeka, czy będzie jej dane przebywać wśród przodków, czy trafi do jednego z dwudziestu jeden przerażających piekieł. Oba stany są przejściowe – ani słodycz, ani męki nie trwają wiecznie. Świat to cykliczność, wciąż zawiązująca się pętla. Jedynym wyjściem z niej jest moksha – ostateczne uwolnienie od cierpień, całkowita realizacja duszy, zjednoczenie z bogiem.

Są dni, gdy w Waranasi trudno oddychać. Dym ze stosów pogrzebowych gęstnieje i wędruje w górę miasta, wijąc się wśród splątanych uliczek. Na głowy przechodniów sypie się popiół, ciemne płatki lecą z nieba – uniesione w powietrzu rozgrzanym przez ogień opadają bezszelestnie, pokrywając wszystko ledwie widoczną mgiełką. Ruch na ghatach przy Gangesie nie słabnie: przybywają kolejni zmarli. Tu – w świętym mieście

Śiwy, jednej z najstarszych istniejących nieprzerwanie osad w Indiach – mają większe szanse na wyzwolenie. Procesje z ciałami krążą w labiryncie starych domów, by z imieniem boga na ustach dotrzeć nad rzekę. Obrzędy pośmiertne trwają dziesięć dni; popiół powinien zostać zebrany między trzecim a dziesiątym dniem po kremacji, rozsypany w różnych miejscach i zmieszany z ziemią. Ale nawet święte rytuały muszą ustąpić przeludnionej doczesności – ciała pali się w pośpiechu, nie zawsze doszczętnie, tym bardziej że do całkowitego spopielenia trzeba dużo drewna, a nie wszystkich na nie stać. Bywa, że Ganges zabiera ledwie nadpalone zwłoki. Na zatłoczonych ghatach więcej jest życia niż śmierci, więcej witalnego zgiełku niż pośmiertnego milczenia. Najklarowniejsze, najbardziej nawet rygorystyczne reguły zyskują tysiące interpretacji, mutują w nieskończoną liczbę odmian. Każdy rozumie świętość inaczej i zadośćuczyni jej na swój sposób – Indie rodzą się i umierają w sprzecznościach.

Dopiero świta. Asceci zeszli na ghaty w ciemności, by oddać cześć wodom bogini Gangi – wielbić jej życiodajną moc. Nucą mantry, przelewając wodę przez splecione dłonie. Ich półnagie sylwetki majaczą w świetle poranka. Słońca jeszcze nie widać, pierwsze odgłosy życia wypraszają nocną ciszę. Łódź niespiesznie przesuwa się wzdłuż brzegu, oddalona o kilkadziesiąt metrów. Stąd dobrze widać i życie, i śmierć. Wiosła opadają ciężko w ciemną wodę, zmętniała i gęsta. Nagle, tuż pod powierzchnią, pojawia się niemowlęca twarz – opuchnięta,

z lekko wydętymi ustami. Posiniała już, rozmywa się w wodzie niebieskawym refleksem. Ganges unosi maleńkie ciało. Jest jego grobem i oswobodzeniem.